TANIEC CIENI
YELENA BLACK
Elitarna szkoła baletowa i jej mroczne sekrety...

PROLOG

W ostrym świetle cień Chloë rozciągał się przez całą scenę. Na czubkach sztywnych palców, trzepocząc ramionami niczym skrzydłami, wygięła szyję w łuk i patrzyła, jak jej sylwetka zdaje się poruszać niezależnie od niej...

Kropla potu spłynęła po jej klatce piersiowej i wsiąkła w cienką tkaninę trykotu. Nie włączono muzyki. Sala była ciemna i pusta, jednak Chloë czuła na sobie wzrok baletmistrza. Starała się nie dygotać, kiedy uniosła głowę, żeby odwzajemnić jego spojrzenie. Powoli wysunęła przed siebie długą, smukłą nogę.

Stuknął laską w posadzkę.

— Jeszcze raz.

Chloë otarła skronie. Stanęła w pozycji, chociaż krople krwi i potu upstrzyły już podłogę po wielu godzinach ćwiczeń. Na dany przez choreografa znak trzynaście baletnic wokół niej zaczęło wirować w kaskadach bieli, miękko uderzając stopami o deski.

— Raz i dwa, i trzy, i cztery!

I zanim się zorientowała, jej stopy przesuwały się bezgłośnie po scenie. Odrzuciła głowę w tył, uniosła rozłożone ramiona do światła.

— Teraz do góry! — krzyknął baletmistrz, kiedy rzuciła się w stronę kręgu tancerek, nie gubiąc kroku. — Przemień swoje ciało! Kości masz puste! Stopy jak piórka!

Chloë zawirowała, wyginając plecy, kiedy obok niej przemykały tancerki o pustych twarzach, przebierające stopami tak szybko, że niemal się rozmazywały.

— Tak! — zawołał choreograf z szerokim, triumfalnym uśmiechem. — Tak!

Chloë była wyczerpana, kręciło jej się w głowie, przepocony trykot lepił się do skóry, ale nie dbała o to. Układ w końcu nabierał kształtu. Splotła nogi z niewymuszonym wdziękiem i ciało podążyło za nimi gładko i płynnie, niczym satynowa wstęga prześlizgująca się po scenie.

Rozluźniła się i odchyliła głowę do tyłu z zachwytem. Jej klatka piersiowa gwałtownie unosiła się i opadała, gęste, rozgrzane powietrze wypełniało płuca.

Pozostałe tancerki wyciągnęły ręce w jej stronę, ich twarze tworzyły blady wir. Wymknęła się im, schyliwszy się nisko, aż czubkami palców musnęła drewnianą podłogę. Drewno wydawało się dziwnie gorące. Owionęła ją cienka smużka dymu, połaskotała w nos. Niewyraźny głos choreografa dochodził jakby z daleka. Lampy nad głową zamigotały, rzucając upiorne cienie na ściany.

Fala ciepła przeniknęła jej ciało. Dziwna, nieokreślona

płomienna moc wlewała się do żył. W głowie zapulsował ból.

Pod czaszką rozwinął się sznur szeptów, cichych, niezrozumiałych głosów. Szarpnęła głową, próbując wyrzucić je z umysłu, ale zlały się ze sobą, obce i niepojęte, coraz głośniejsze, coraz bardziej przenikliwe.

Oczy ją paliły. Pokój tonął w czerwieni. Troczki baletek zacieśniły się wokół kostek. Jej nogi nagle wygięły się do tyłu, jakby pozbawione kości. Jakaś siła wyrzuciła jej ramiona nad głowę. Wbrew jej woli podbródek poderwał się do góry, w stronę sufitu.

„Moja", powiedział głos w jej głowie.

Chloë zachwiała się i próbowała utrzymać równowagę na drżących nogach. Ze wszystkich sił starała się poruszyć ustami.

— Nie! — krzyknęła konwulsyjnie i wypadła z pozycji.

Tancerki zatrzymały się w pół kroku, twarze miały puste i zniekształcone. Z ciemności dobiegł głos choreografa, przecinając ciszę.

— To, moja droga, było fatalne potknięcie.

— Co? — szepnęła Chloë. — Jak możesz...

Ale jej słowa pochłonęło duszące tchnienie żaru, które owinęło się wokół niej, polizało jej nogi. Skręciła się z bólu, kiedy zawładnęła nią nieokreślona siła, krew w niej kipiała, pulsując w piersi, palcach, ramionach, aż wypełniła ją płomienna ekstaza, nie do wytrzymania.

Kolory wokół niej wyostrzyły się, stały się rażąco jaskrawe. Coś zaskrzeczało w jej uszach — piskliwy, ogłuszający wrzask, w którym nagle rozpoznała własny

głos.

Eksplodowała oślepiającym, roziskrzonym blaskiem i jej ciało rozsypało się w popiół.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Matka z szelestem rozsunęła zasłony i pokój zalało popołudniowe słońce.

Vanessa zasłoniła oczy.

— Mamo, proszę.

— Trochę słońca nie zaszkodzi — powiedziała pani Adler i cofnęła się, żeby ocenić efekt. — Poza tym zabija zarazki. Nie wiadomo, jak dokładnie tu sprzątają. — Pogrzebała w torebce, wyjęła buteleczkę płynu odkażającego Purell i wycisnęła kroplę na dłoń. — Precz, bakterie!

Vanessa nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Rozejrzała się po pokoju.

Była to zwyczajna sypialnia w internacie, skromnie umeblowana: dwa łóżka, dwa biurka i dwie komody. Ściany pomalowano na bladożółto. W długim lustrze przykręconym po wewnętrznej stronie drzwi szafy odbijały się nierozpakowane pudła, walające się na podłodze. Druga połowa pokoju została już udekorowana. Na ścianach

zawisły plakaty filmowe, na łóżku leżały patchworkowe poduszki, z szafy wysypywały się buty i ubrania — a wszystko to w jaskrawych, krzykliwych kolorach. Nigdzie jednak nie było widać współlokatorki Vanessy.

W korytarzu panował rozgardiasz — dziewczęta chichotały i plotkowały o wakacjach, rodzice kłócili się, przepychając przez tłum ciężkie kufry, młodsze siostry uczennic kręciły się w kółko jak oszalałe baleriny.

Vanessa przypomniała sobie, jak sama towarzyszyła starszej siostrze podczas pierwszego dnia szkoły, chociaż prawie nie pamiętała, kiedy ostatnio śmiała się w tańcu. Zdmuchnęła z twarzy kosmyk rudych włosów i zerknęła na ojca, który współczująco wzruszył ramionami.

— Czegoś brakuje. — Matka przesunęła wazonik z jednej strony szafki nocnej na drugą. — Tak lepiej — stwierdziła, chociaż Vanessa nie widziała różnicy.

Ojciec westchnął i kiedy matka nie patrzyła, przewrócił oczami. Vanessa parsknęła śmiechem.

— Co jest takie zabawne? — zapytała surowo matka.

Vanessa przygryzła wargę.

— Przypomniało mi się coś z przeszłości.

— Przeszłość jest niczym — oświadczyła matka z lekkim drżeniem w głosie. — Skup się na przyszłości. — Zmięła brzeg kołdry i przesunęła ręką po czole, jakby chciała zetrzeć cienkie zmarszczki, którymi stres i niepokój poznaczyły jej twarz przez ostatnie kilka lat. — Oczywiście to miejsce przywołuje tyle wspomnień...

Ktoś zapukał do drzwi. Na korytarzu stała dziewczyna z włosami w koński ogon, z podkładką na dokumenty w

ręku.

— Tak? — odezwała się matka Vanessy.

— Cześć. Szukam Vanessy Adler.

Vanessa zrobiła krok w stronę drzwi, ale matka nie ustąpiła jej z drogi.

— Jestem jej matką. A ty?

— Och, jestem Kate, opiekunka roku. — Dziewczyna próbowała zajrzeć do pokoju. — Chciałam powitać Vanessę w Nowojorskiej Akademii Baletowej.

— Opiekunka roku?! Jesteś tylko ty?

— Właściwie jest nas dwoje — odparła pogodnie Kate. Oczy miała niebieskie i bystre, włosy jasnobrązowe z blond pasemkami. — Opiekuję się nowymi dziewczynami, a Ben opiekuje się chłopcami.

Pani Adler zmarszczyła brwi.

— Chyba źle cię zrozumiałam. Chcesz mi powiedzieć, że sama opiekujesz się nowymi?

Vanessa skrzywiła się, a Kate rzuciła jej spojrzenie pełne zrozumienia, zanim obdarzyła panią Adler uspokajającym uśmiechem.

— Owszem. Ale zapewniam...

Pani Adler jej przerwała.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że Nowojorska Akademia Baletowa przyjmuje co roku tylko dwadzieścioro tancerzy w wieku Vanessy?

— Tak... — zaczęła Kate.

— I że piętnaście lat to bardzo niebezpieczny wiek?

Vanessa poczuła, że się czerwieni.

— Wiem. Nie tak dawno sama miałam piętnaście lat...

— Właśnie o to mi chodzi! — Pani Adler wzniosła ręce do sufitu. — Jesteś niewiele starsza od Vanessy. Skąd będziesz wiedzieć, gdzie ona jest i z kim spędza czas? Jak dopilnujesz, żeby odrabiała lekcje i ćwiczyła, kiedy wokół jest tyle atrakcji? Manhattan czyha na młode, naiwne dziewczęta.

W pokoju zapadła cisza. Pani Adler przytrzymała się krawędzi komody i wachlowała szyję. Przez chwilę Vanessa marzyła, żeby ojciec uspokoił matkę, powiedział jej, że przesadza... ale nie tak wyglądały sprawy między rodzicami. To matka wydawała rozkazy; ojciec tylko je wykonywał.

— Przepraszam — odezwała się matka, kiedy się opanowała. — Po prostu martwię się o nią. — Odwróciła się do Vanessy. — Rozumiem, że musisz tańczyć. Naprawdę rozumiem; byłam taka sama. Ale czy jesteś absolutnie pewna, że chcesz tutaj zostać? Bo są jeszcze inne rzeczy, cały świat...

— Mamo, dam sobie radę. Przestań się martwić.

Rozmawiały już o tym... wiele, wiele razy. Matka wolała, żeby Vanessa została w domu, żeby chodziła do prywatnej szkoły w Massachusetts. Ale Vanessa chciała... no, chodziło nie tyle o to, czego chciała. Raczej o to, co musiała zrobić.

I to musiało być tutaj. W Nowojorskiej Akademii Baletowej. W tej samej szkole, do której chodziła Margaret.

Kiedy przyszedł list z zawiadomieniem o przyjęciu Vanessy do akademii, dopiero po całych miesiącach kłótni matka wyraziła zgodę. Nie zaszkodziło, że Vanessa otrzymała pełne stypendium. „Najbardziej utalentowana

tancerka, jaką oglądaliśmy", powiedział członek komisji rekrutacyjnej. „To pewnie rodzinne".

W końcu pani Adler ustąpiła.

Vanessa posłała Kate przepraszające spojrzenie i wzruszyła ramionami z nadzieją, że diatryba matki jeszcze nie zepsuła jej opinii. Zostać wyrzutkiem w klasie składającej się zaledwie z dziesięciu chłopców i dziesięciorga dziewcząt? Nie tak wyobrażała sobie nowy początek. Ale ku jej zdumieniu Kate mrugnęła do niej, po czym odwróciła się do matki.

— Manhattan to rzeczywiście podniecające miejsce — powiedziała, a kakofonia klaksonów na ulicach potwierdziła jej słowa. — I chociaż nie mogę obiecać, że w każdej chwili będę wiedziała, co robi Vanessa, przyrzekam, że dołożymy wszelkich starań, żeby zapewnić spokój i bezpieczeństwo naszym uczniom. W akademii obowiązuje cisza nocna, uczniowie nie mają zbyt wiele swobody, zresztą wszyscy są tak zajęci, że ledwo starcza im czasu na wypady do miasta.

Pani Adler odetchnęła.

— To dobrze.

— Świetnie. — Kate wsunęła podkładkę pod pachę. — No, nie będę przeszkadzać w rozpakowaniu. Vanesso, zobaczymy się na inauguracji, która odbędzie się w głównym studiu Juilliarda na drugim piętrze, za dwie godziny. Jeśli mają państwo jeszcze jakieś pytania, będę się kręcić w pobliżu.

Pani Adler spojrzała na córkę, po czym wyszła na korytarz.

— Mam jeszcze kilka pytań — zwróciła się do Kate i ruszyła za nią.

Jak tylko znalazły się poza zasięgiem słuchu, Vanessa gwałtownie pokręciła głową, aż niesforne rude włosy smagnęły ją po twarzy.

— No, to było wariactwo.

Ojciec uśmiechnął się i otarł pot z czoła. Był przystojnym mężczyzną o mocnych, wyrazistych rysach, które Vanessa odziedziczyła razem ze wzrostem i ognistymi włosami, chociaż jego ściemniały do dystyngowanego kasztanowego odcienia. Nie przypominała delikatnego kwiatuszka jak matka albo siostra Margaret i częściowo dlatego była taką wspaniałą tancerką. Poruszała się z lekkością, której nikt się po niej nie spodziewał; kiedy wykonywała *grand jeté*, zdawała się płynąć w powietrzu, muskając scenę czubkami palców, przeobrażona w białego łabędzia, Śpiącą Królewnę albo Wieszczkę Cukrową, a jej ruda grzywa błyskała w światłach niczym naelektryzowana.

Ojciec podwinął rękawy koszuli. Sięgnął po jedną z baletek leżących na komodzie, wstążki prześliznęły mu się przez palce. W jego dłoni pantofelek wydawał się absurdalnie mały.

— Ness, wiesz, że jeśli ci się tu nie podoba, możesz mi powiedzieć.

Za otwartymi drzwiami przeszła grupka rozgadanych, rozchichotanych dziewcząt. Vanessa przygryzła wargę. Żałowała, że nie pragnie tu być równie mocno jak one. Nowojorska Akademia Baletowa była najlepszą szkołą tańca w kraju. Vanessa powinna się cieszyć, że tu jest,

jednak nigdy nie miała do tego serca, przynajmniej do niedawna. To jej starsza siostra Margaret kochała balet, liczyła kroki przez sen i marzyła, żeby występować na scenie. Vanessa tylko szła w jej ślady.

A jednak przez całą szkołę średnią spędzała więcej czasu na ćwiczeniach przy drążku niż z przyjaciółkami. Jakaś jej cząstka najbardziej pragnęła pójść do zwykłego liceum, jeść cheeseburgera bez poczucia winy i umawiać się z chłopakiem, który nie nosił rajtuzów ani spandeksu. Przez pewien czas wierzyła, że to możliwe, ale złudzenia szybko prysły po tym, co się stało z Margaret.

Vanessa westchnęła.

— Wiesz, że nie mogę zrezygnować. — Zerknęła na drzwi. — Zdaję sobie sprawę, że jest jej ciężko, ale nie tylko ona kogoś straciła.

— Ona się boi o ciebie. Nie lubi tego miejsca. — Ojciec starannie odłożył baletkę z powrotem na komodę.

— Nie martw się, tato. To tylko szkoła — powiedziała Vanessa.

— Wiem. Ale twoja matka wierzy... no, wiesz, co ona myśli. Wolałaby cię wysłać gdzie indziej. Popieram twoją decyzję, jeśli uważasz, że to dla ciebie najlepsze. Ale jeśli to się okaże dla ciebie za trudne, zawsze możesz wrócić do domu. Wybrać inną drogę.

Uśmiechnął się krzywo i poklepał Vanessę po ramieniu. Rozumiała go, ale jaki miała wybór? Jej babka była niegdyś primabaleriną, jej matka także, a Margaret — jedną z najbardziej obiecujących uczennic w historii szkoły.

Dopóki nie znikła przed trzema laty.

Vanessa dokładnie pamiętała, jak odebrali telefon. Był luty i w Massachusetts padał śnieg, wirował za kuchennym oknem, kiedy jadła obiad z rodzicami. Jej siostra uciekła, powiedział matce szkolny psycholog. „Wpadła w złe towarzystwo", dodał. „Pod wpływem stresów dziewczęta czasami zbaczają na złą drogę, chociaż usilnie staramy się temu zapobiegać".

Tego wieczoru rodzice odwieźli Vanessę do dziadków i pojechali do Nowego Jorku, żeby szukać Margaret. W dzień współpracowali z policją; nocami wędrowali po mieście, przeczesując najciemniejsze i najbrudniejsze zakamarki. Po kilku tygodniach ojciec wrócił do pracy i dołączał do matki tylko w weekendy.

Sześć miesięcy później rodzice zaprzestali poszukiwań i wrócili do domu, żeby zająć się drugą córką. Rzeczy Margaret spakowano i przeniesiono do garażu.

Vanessa pragnęła wierzyć, że Margaret gdzieś tam jest, śmieje się z przyjaciółkami, prowadzi wymarzone życie jako normalna nastolatka.

Potem dostali ostatnią przesyłkę z Nowojorskiej Akademii Baletowej: szkolny identyfikator Margaret, trykoty, nadal wydzielające słabą kwiatową woń i podniszczoną parę point. To wszystko znaleźli w jej szafce w studiu, kiedy pakowali resztę jej rzeczy. Matka rozpłakała się, gdy otworzyła pudełko i zobaczyła inicjały Margaret wyskrobane na podeszwach. Margaret przechowywała te stare pointy, ponieważ dostała je w prezencie od nauczycielki jeszcze w Massachusetts.

— A jeśli ona nie żyje? — szepnęła matka, wyrażając

myśl, która dręczyła ich wszystkich.

Vanessa usiadła obok i położyła matce głowę na ramieniu.

— Może już ich nie potrzebuje. — Nie chciała uwierzyć w śmierć siostry.

Vanessa i ojciec próbowali żyć dalej, ale matka przez cały miesiąc prawie nie wstawała z łóżka. Przestała się kąpać, nie zmieniała ubrania; zostawiała posiłki nietknięte; nie chciała nawet słuchać muzyki klasycznej. Wtedy Vanessa zrozumiała, że jest źle.

Pewnego ponurego piątku wyciągnęła z szafy baletki i weszła na palcach do sypialni, gdzie matka leżała bez ruchu pod prześcieradłem, zwinięta w kłębek. I kiedy deszcz spływał po szybach, Vanessa zatańczyła, pozwalając, żeby wypłynął z niej cały żal, aż nie czuła już nic oprócz gwałtownego łomotania serca.

Matka powoli usiadła.

Wkrótce woziła już Vanessę na lekcje baletu jak zawsze, aż pewnego dnia Vanessa oznajmiła, że złożyła podanie o przyjęcie do Nowojorskiej Akademii Baletowej. Matka była zaszokowana. Uwielbiała patrzeć, jak Vanessa tańczy, nigdy jednak nie sądziła, że młodsza córka kocha to wystarczająco, żeby pójść w ślady Margaret. Zamknęły ten rozdział życia, oświadczyła.

Ale Vanessa nie zamknęła. Z pomocą ojca zapisała się do tej samej szkoły, z której znikła Margaret, ponieważ postanowiła nie tylko tańczyć, lecz również odnaleźć siostrę. Musiała tam być — w tej szkole, w tym życiu, które niegdyś należało do jej matki i do Margaret.

Teraz ojciec przysunął sobie pudło i usiadł obok Vanessy.

— Mówię poważnie — podkreślił. — Wiem, że jesteś zdolną tancerką. Chciałem tylko zapytać, czy jesteś szczęśliwa.

— Jestem szczęśliwa — zapewniła Vanessa. W pewnym sensie, pomyślała. Szczęście zawsze jest skomplikowane.

— Kto jest szczęśliwy? — zapytała matka, osuszając oczy lnianą chusteczką.

Zaskoczyła ich, wślizgując się do pokoju. Zawsze tak robiła, podkradała się niepostrzeżenie, wszechobecna siła w życiu Vanessy.

— Ja — odparła Vanessa. — Jestem szczęśliwa, że tu przyjechałam.

— Oczywiście — przytaknęła matka ze smutkiem. — To najbardziej elitarna szkoła baletowa na świecie. — Zmusiła się do uśmiechu. — Odwiedziłam dawny pokój Margaret.

Głos jej się załamał i ojciec Vanessy objął ją ramieniem.

— Obiecaj mi, że nigdy nie weźmiesz żadnych prochów. Nawet aspiryny. Choćby cię stopy nie wiem jak bolały.

— Tym nie musisz się martwić — uspokoiła ją Vanessa. Wiedziała, że inne dziewczyny stosują środki przeciwbólowe, ona jednak miała stopy tak zahartowane i pełne zgrubień, że pewnie mogłaby wbić sobie gwóźdź w palec i nic by nie poczuła.

Wkrótce, po ostatnim przeglądzie pustych pudeł, ojciec zamknął ją w długim, ciasnym uścisku.

— Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała. Czegokolwiek — szepnął. — Choćby tylko pogadać.

Zaskoczona czułością w głosie ojca, Vanessa odprężyła się w jego ramionach. To jest to, pomyślała, wdychając zapach jego płynu po goleniu. Dopiero teraz dotarło do niej, że nie wraca z rodzicami do domu. Przytuliła policzek do klapy ojcowskiej marynarki.

— Zadzwonię.

— No dobrze — powiedziała matka. — Teraz moja kolej.

I zanim Vanessa się zorientowała, matka przycisnęła ją do piersi i zanurzyła twarz w jej włosach.

— Och — westchnęła, lekko kołysząc córkę w uścisku — będę za tobą tęskniła. Będziesz cudowna. Wiem, że będziesz.

Vanessa odruchowo otoczyła ramionami smukłe ciało matki.

I nagle, jakby matka uświadomiła sobie, co robi, puściła ją i odstąpiła. Wygładziła spódnicę, wytarła oczy chusteczką.

— Musimy już jechać — oświadczyła energicznie.

Vanessa odprowadzała wzrokiem rodziców znikających w korytarzu. Co teraz? Podniosła pudełko leżące obok łóżka. W środku spoczywały pointy Margaret, ze wstążkami owiniętymi wokół zniszczonej różowej satyny. Delikatnie przesunęła palcem po nierównych krawędziach inicjałów siostry na podeszwach. Właśnie chowała pudełko do szafy, kiedy przez drzwi wpadła jakaś dziewczyna.

— Czy to była twoja mama? Ta wariatka, która wparowała do mojego pokoju bez pukania? I ciągle gadała o jakiejś Margaret?

Dziewczyna była wysoka i szczupła, miała ciemnobrązową skórę, przenikliwe zielone oczy i cień uśmiechu na ustach.

— Przepraszam — bąknęła Vanessa. — Może cię pocieszy, że ona mi to robi od lat.

— Cholera. A myślałam, że to moja mama jest okropna.

Vanessa przygryzła wargę.

— Nie dotykała twoich rzeczy?

Dziewczyna ściągnęła do tyłu opaską gęste włosy.

— Nie, tylko stała i jakby... no, wibrowała. Przez chwilę myślałam, że usiądzie na moim łóżku, ale zdążyłam ją przywołać do porządku. Chyba się przeze mnie popłakała.

— Nie, nie przez ciebie — zaprzeczyła Vanessa. — Ona ostatnio często płacze. — Po chwili dodała: — Przy okazji, jestem Vanessa.

— Vanessa? Więc kto to jest Margaret?

— Moja starsza siostra. Chodziła tutaj... kiedyś.

Oczy dziewczyny zabłysły.

— Jestem Steffie.

— Niezła historia. — Następna dziewczyna wsadziła głowę do środka. — A ja jestem TJ — oznajmiła, szczerząc zęby. — Twoja współlokatorka.

Miała wielkie sarnie oczy i piegi, i splątaną szopę kędzierzawych brązowych włosów, upiętych na czubku głowy. Kilka zabłąkanych loczków opadało jej na twarz.

— To skrót od Tammy Jessica, ale moim zdaniem te imiona są zbyt dziewczyńskie. TJ jest lepsze, nie uważasz?

Vanessa kiwnęła głową.

— Chyba tak.

— Zdefiniuj „lepsze” — zażądała Steffie.

— Mnie też miło cię poznać. — TJ usiadła na swoim łóżku, nakrytym jaskrawoniebieską narzutą. Jak na tancerkę miała bujne kształty. — Odkąd tu jestem, wymyślam siebie na nowo. Jak mówiłam: TJ. „T” może znaczyć na przykład „twarda”. A „J” jak... jazz. Albo cokolwiek. Ale taka teraz jestem. Idę do przodu.

Vanessa uśmiechnęła się. Nowy początek to rzeczywiście dobry pomysł. Imię TJ pasowało do wizerunku nowej znajomej: nie stosowała makijażu, nawet kredki do powiek. I tak miała wyraziste rysy.

— Jestem z miasta — oznajmiła TJ, jakby istniało tylko to jedno miasto. — Z Upper East Side. Mogłam mieszkać w domu, ale chciałam się wynieść od rodziców. Są prawnikami. Prillar i Prillar. Nasz dom to ciągłe gadanie, gadanie, gadanie. — Przewróciła oczami. — Fajnie będzie się od tego oderwać.

Vanessa musiała ukryć uśmiech. Gadanie, gadanie, gadanie.

— Prillar? — powtórzyła. — Jak ten Prillar, który jest w zarządzie akademii?

Steffie odwróciła głowę.

— Nie mówiłaś mi o tym, TJ.

— A powinnam? — zdziwiła się TJ. — To nie miało nic wspólnego z tym, że się dostałam.

— Oczywiście, że nie — zapewniła Steffie. — Nie chciałam sugerować...

Ale TJ tylko się roześmiała.

— Wiem. Więc skąd jesteś, Vanesso? Nie, czekaj. Niech

zgadnę. Kalifornia. Nie, Vermont.

— Blisko — przyznała Vanessa. — Massachusetts.

— Nie martw się — powiedziała TJ, widząc, że Vanessa zerka na stos ubrań przy jej łóżku. — Nie zawsze jestem taka bałaganiara.

— Ani ja. — Vanessa roześmiała się.

— Dosyć o waszym bałaganie — ucięła Steffie. — Nie mogę uwierzyć, że będziemy chodzić do szkoły na Manhattanie. Super, no nie?

— Miasto, które nigdy nie śpi — zadeklamowała TJ.

— Gdzie chodniki są brukowane złotem! — dodała Steffie. — Czy może to w Hollywood?

— Nieważne — odparła Vanessa. — Chodzi o to, że mamy szczęście.

— Jutro rano pierwsze, co zrobię, to pójdę na Times Square — oznajmiła Steffie. Popchnęła TJ i opadła na łóżko obok niej.

— Fuj! — TJ skrzywiła się. — Jutro rano pierwsze, co zrobię, to nie pójdę na Times Square.

— Co jest złego w Times Square? — zdziwiła się Steffie.

— Nic, jeśli jesteś turystą.

— No, ja jestem turystką. Nie mieszkałam tu przez całe życie jak co poniektórzy z kupą włosów.

Wszystkie trzy wyjrzały przez okno i zobaczyły Lincoln Center błyszczący w popołudniowym słońcu. Fontanna na środku placu wyrzucała wysoko w powietrze strugi wody, a ze wszystkich stron stały wspaniałe budynki, które Vanessa znała już na pamięć. Ten z szybami z artystycznego szkła to New York City Ballet; wysokie

łukowe okna należały do Metropolitan Opera House; a budynek wyłożony żółtym marmurem to Avery Fisher Hall, gdzie mieściła się nowojorska filharmonia. Ich nowa szkoła, Nowojorska Akademia Baletowa, przytuliła się do Avery Fisher Hall, obok szkoły Juilliarda; dwa skromne budynki, które stały się teraz domem Vanessy. Zachodzące słońce barwiło wszystko odcieniem mosiądzu — od fontanny do budynków na placu, od drewnianych wież ciśnień sterczących na dachach licznych apartamentowców do odległych szklanych drapaczy chmur, których okna wyglądały jak roztopione złoto.

— Naprawdę pięknie. — Steffie porzuciła na chwilę kąśliwy ton. Westchnęła. — Trudno uwierzyć, że przez cztery lata będziemy tu mieszkać. Jesteśmy jakby w centrum wszechświata.

— Jesteśmy prawie w centrum wszechświata — poprawiła ją TJ. — W Nowym Jorku jest mnóstwo rzeczy, których pewnie nigdy nie zobaczymy. Lincoln Center to mała bezpieczna banieczka.

Nie taka bezpieczna, pomyślała Vanessa, ale do nowych przyjaciółek powiedziała:

— To się wydaje nierzeczywiste, prawda? Jakbym jutro miała się obudzić w domu i odkryć, że to był sen.

— Zaczekaj, aż się zaczną zajęcia — rzuciła TJ, błyskając w uśmiechu białymi, równymi zębami. — Przestanie się wydawać nierzeczywiste, kiedy porobią się pęcherze i stopy zaczną krwawić.

Vanessa instynktownie podkuliła palce u nóg w płóciennych tenisówkach. Nie mogła się powstrzymać,

żeby nie spojrzeć na muskularne uda Steffie i proste plecy TJ. Zastanawiała się, czy są lepszymi tancerkami od niej. Nie przywykła do obecności tylu prawdziwych tancerek; w szkole w Massachusetts zawsze była dużo lepsza od innych.

Rozmyślania przerwała jej dwójka nowych gości: współlokatorka Steffie, drobniutka dziewczyna imieniem Elly o falujących blond włosach, z laptopem pod pachą, i depczący jej po piętach Azjata.

— Usłyszeliśmy głosy i pomyśleliśmy, że wpadniemy się przywitać — powiedział chłopiec — bo oboje jesteśmy cudowni i na pewno bardzo chcecie nas poznać. Mówcie mi Blaine. — Wyciągnął przed siebie rękę, jakby się spodziewał pocałowania.

Steffie skrzywiła się i usiadła na parapecie, krzyżując długie, ciemne nogi. Krytycznie przyglądała się przybyszom.

— Ale to nie jest jego prawdziwe imię — oznajmiła kpiąco Elly, przeciągając samogłoski ze słodkim południowym akcentem. Cała była cukierkowa i filigranowa: krótka blond fryzurka, perkaty nosek, nadąsane usta. Nawet ubrała się w koronkowe różowości. Szturchnęła Blaine'a łokciem. — No dalej, powiedz im.

Blaine pokręcił głową i półserio spiorunował ją wzrokiem.

— Ani się waż.

TJ odgarnęła z szyi kędzierzawe włosy.

— Więc jak się naprawdę nazywasz?

Blaine zbył jej pytanie machnięciem ręki.

— Nie powiem.

— Dlaczego? — zapytała TJ, przenosząc spojrzenie z Blaine'a na Elly. — Jej powiedziałeś.

— Dlatego że oboje jesteśmy z Południa. Ona rozumie.

— Co rozumie? — zdziwiła się Steffie.

— Że tam na dole ludzie są dziwniejsi — odparł Blaine takim tonem, jakby wyjaśniał jej coś oczywistego.

— I szersi — dodała TJ.

Blaine wzruszył ramionami.

— To prawda. Ale słuchajcie, jestem w połowie Japończykiem i w połowie Meksykaninem. Ilu znacie facetów, którzy popijają margarity kieliszkiem do sake?

— Co to jest sake? — szepnęła TJ do Vanessy.

— Nie mówiąc o tym, że jestem facetem, który lubi nosić trykoty i baletki — ciągnął Blaine — i nie je czerwonego mięsa. Niełatwo takiemu dorastać w Teksasie. Wiecie, jak trudno tam na dole o przyzwoitą sałatkę?

Dziewczęta wybuchły śmiechem.

— Nie jest tak źle — powiedziała Elly, zwijając się na łóżku obok TJ. — No i Południe ma coś, czego nie ma reszta kraju.

— Nadwyżki lemoniady Mountain Dew? — zażartowała TJ.

Elly uśmiechnęła się i jej wargi utworzyły różowy półksiężyc.

— Dżentelmenów z Południa, zwłaszcza z Alabamy.

Blaine przewrócił oczami.

— Dla mnie to sami farmerzy. Farmerzy z wielkimi, grubymi motykami.

Vanessa parsknęła śmiechem.

— Wolę koszule bez krawatów i drelichowe spodnie od fraków i muszek — wyznała. — Ale ja jestem z Massachusetts. Lubię styl sportowy.

— Widzicie, ja właśnie o tym mówię — podchwycił Blaine. — Albo wystarczyłby mi rosyjski tancerz. Są tacy surowi. Uwielbiam to. Nawet by mi nie przeszkadzało, gdyby wcale nie mówił po angielsku. Dopóki kochałby się ze mną tak słodko i karmił mnie kawiorem, a potem razem bawilibyśmy się moimi matrioszkami. Nie żebym miał jakieś matrioszki — dodał.

Vanessa i pozostałe dziewczęta dalej się na niego gapiły.

— Więc jak byście się porozumiewali? — zapytała zdziwiona Elly.

— Kochanie — odparł Blaine, pochylając się i trzepocząc rzęsami — język miłości nie potrzebuje słów. Nie oglądałaś *Małej syrenki*?

Tym rozśmieszył nawet Steffie.

— Dosyć o Rosjanach, lalkach i filmach Disneya. Jesteśmy tu, żeby tańczyć.

Elly otworzyła laptopa w różowej obudowie, z ogromnym sercem na pokrywie, i pokazała im zdjęcia słynnych tancerzy, którzy ukończyli Nowojorską Akademię Baletową: Anastazja Pietrowa w roli tytułowej w *Giselle*, Alexander Garrel jako żylasty Król Myszy w *Dziadku do orzechów* i Juliana Faraday jako eteryczna księżniczka Aurora w *Śpiącej królewnie*.

— To ci, którym się udało — zauważył Blaine. — A co z tymi innymi?

Vanessa zesztywniała.

— O co ci chodzi?

— Słyszałam — wtrąciła Elly — że w zeszłym roku dziewczyna złamała nogę podczas próby. Jakiś facet ją upuścił przy skoku. Kolega ze starszej klasy powiedział mi, że słyszał, jak pękła jej kość.

Vanessa się wzdrygnęła.

— Dwadzieścioro jest powołanych — zaintonowała TJ — ale tylko nieliczni przetrwają do dyplomu.

— Mówię poważnie — upierał się Blaine. — Tylu uczniów odnosi kontuzje.

— Nie wspominając o złamanych palcach u nóg — poparła go Steffie. — W zeszłym roku o mało jednego nie złamałam. — Obróciła stopę, aż zabrzęczała cienka srebrna bransoletka.

— Albo złamanych sercach — dodała Elly i obdarzyła Blaine'a powłóczystym spojrzeniem. Rzucił w nią poduszką.

— Albo dziewczynach odesłanych do domu z powodu problemów z nadwagą lub prochami — przypomniała Vanessa.

— Czy czasem czujecie się inaczej, kiedy tańczycie? — zapytała nagle Steffie. — Jakby w stanie...

— Delirium — podsunęła Vanessa, zaskakując samą siebie.

— Hmm... nie, właściwie chciałam powiedzieć, że w stanie nieważkości — sprostowała Steffie.

— Delirium? — powtórzyła ubawiona TJ. — To znaczy oszołomienie? Może w główce ci się kręci.

Vanessa roześmiała się z zażenowaniem.

— Żartowałam — zapewniła.

To się zdarzyło tylko raz — dziwne, deliryczne uczucie. Kiedy Vanessa tańczyła tak perfekcyjnie, że muzyka stopiła się z biciem jej serca, świat dookoła rozpłynął się w nicość i niemal się zatraciła. Ale może to był tylko skutek odwodnienia. Tak jej powtarzała matka za każdym razem, kiedy Vanessa próbowała poruszyć ten temat. Podniosła wzrok i zauważyła, że Steffie się jej przygląda. Poczuła, że się rumieni, ale Steffie tylko uśmiechnęła się wyrozumiale, jakby chciała powiedzieć: „Nie martw się, nie zdradzę twojego sekretu".

— Inauguracja! — zawołała nagle Elly. W korytarzu za drzwiami zrobiło się dziwnie cicho. Spojrzała na zegarek. — Cholera. Już jesteśmy spóźnieni!